ROK XXX. We Lwowie, dnia 1. lutego 1923. Nr. 3.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata na 1-e półrocze r 1923: 5.000 m. W Ameryce pół dolara. Numer pojedynczy: 150 m.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi na razie tylko 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 64. Inseraty przyjmuje się za opłatą 80 Mk. od wiersza petitu. Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

TREŚĆ: Encyklika Piusa XI. — Z powodu „Ewangelji Bożego Narodzenia" Prof. Ganszyńca. — Poważne ostrzeżenie. — Do Duchowieństwa Polskiego. — Oświadczenie. — Św. Michał czy św. Stanisław? — „Bóg w arendzie". — Stanisław Wasylewski. — Śp. Tadeusz Piłat. — Nowe książki. — Kronika kościelna. — Odezwa.

Encyklika Piusa XI,

wydana na Boże Narodzenie r. 1922 do wszystkich Patrjarchów, Prymasów, Arcybiskupów i Biskupów.

Czcigodni Bracia!

Pozdrowienie i błogosławieństwo Apostolskie! Ujrzawszy się tajnem zrządzeniem Bożem wyniesionymi bez żadnej zasługi na tę Stolicę prawdy i miłości, zamierzaliśmy jak najprędzej, o ile to było możliwe i z pełni serca przemówić do Was, Czcig Bracia i do wszystkich ukochanych dzieci, powierzonych waszej bezpośrednio pieczy. Dowód tej chęci daliśmy, jak mniemamy, błogosławiąc zaraz po wyborze z wyżyny bazyliki watykańskiej i w obliczu ogromnej rzeszy ludzi miastu Rzymowi i całej ziemi. To błogosławieństwo przyjęliście wszyscy, a na czele św. Kolegjum Kardynałów, z tak wielką radością, że ona Nam w tej trwożnej chwili, gdyśmy tak nagle mieli wziąć na siebie brzemię tego Urzędu, obok ufności w pomoc Bożą, przyniosła bardzo upragnioną i największą pociechę. Teraz wreszcie, z powodu uroczystości Narodzenia Pana Naszego Jezusa Chrystusa i na początek nowego roku są „usta Nasze otworzone ku wam" (II Kor. 6, 11)., a Nasze słowo niech przyjdzie do was jako dar uroczysty życzenia, przesłany przez Ojca swym dzieciom.

Jeżeli to nie stało się już wcześniej, jak bylibyśmy pragnęli, spowodowały to różne przyczyny. Najpierw trzeba było zadowolić miłość katolików, od których nadchodziły codziennie listy niezliczone, pozdrawiające wyrazami najgorętszego przywiązania nowego Następcę św. Piotra. Potem zaczęliśmy odczuwać to, co Apostoł nazywa „naleganiem na Nas co dzień, staranie o wszystkie kościoły" (II Kor. 11, 28). A do zwyczajnych trosk Naszego Urzędu przyłączyły się jeszcze inne, jak dalsze prowadzenie ważnych układów, które rozpoczęliśmy w sprawie Ziemi świętej i położenia owych chrześcijan i kościołów, które należą do najwyżej poważanych; potem obrona, z obowiązku Naszego Urzędu, sprawy miłości łącznie ze sprawą sprawiedliwości na owych konferencjach państw zwycięskich, gdzie radzono nad losem innych narodów, gdzie też upominaliśmy szczególnie, żeby uwzględniano należycie interesy duchowe, które nie ustępują innym co do wartości, ale raczej je przewyższają i wzywaliśmy z całym naciskiem do udzielania pomocy dalekim narodom, nawiedzonym głodem i klęskami wszelkiego rodzaju; uczyniliśmy to, przesyłając najwyższy datek, na jaki mogliśmy się zdobyć we własnym niedostatku, a zarazem prosząc cały świat o ofiary. Nadto jeszcze staraliśmy się wśród własnego narodu, do którego należymy pochodzeniem i pośród którego Bóg ustawił Stolicę św. Piotra, położyć koniec owym gwałtownym walkom, które toczyły się oddawna i często i zagrażały losowi drogiego nam ludu.

Równocześnie jednak nie brakowało wydarzeń bardzo radośnych. I tak doznaliśmy zarówno w dniach 26-go Kongresu eucharystycznego, jak i trzechsetnej rocznicy Kongregacji dla rozszerzania wiary tyle pociechy niebiańskiej, ile jej nie bylibyśmy śmieli spodziewać się już na początku Naszego Pontyfikatu. I tak mieliśmy sposobność rozmówić się prawie ze wszystkimi drogimi Synami naszymi Kardynałami, a również z Czcigodnymi Braćmi Biskupami w tak wielkiej liczbie, w jakiej nie bylibyśmy mogli tak łatwo ich widzieć w niejednym roku. Taksamo mogliśmy przyjąć liczne rzesze wiernych, tyleż prawie wybranych zastępów owej niezliczonej rodziny, którą nam Pan „ze wszelakiego pokolenia i języka i ludu i narodu", jak czytamy w Apokalipsie (5, 9), powierzył i do nich przemówić słowem ojcowskiem, jak tego pragnęliśmy gorąco. Przy owych sposobnościach zdawało się nam, jakgdybyśmy patrzeli na Boskie widowiska: Zbawiciel, Nasz Pan Jezus Chrystus był niesiony pod osłoną eucharystyczną wśród gęsto skupionego orszaku pobożnych przybyłych ze wszystkich krajów, w tryumfie przez ulice Rzymu, tak iż się zdawało, że On na nowo wszedł w posiadanie owej miłości, która mu się należy jako Królowi ludzi i narodów. Kapłani i dobrzy świeccy okazywali się rozpłomienieni duchem modlitwy i żarem Apostolstwa, jak gdyby na nowo zstąpił na nich Duch święty. Żywa wiara ludu rzymskiego objawiła się na większą chwałę Bożą i ku zbawieniu dusz na nowo, jak niegdyś przed całym światem. I Marja, Dziewica i Matka Boża, Matka miłościwa nas wszystkich, która już uśmiechała się do Nas w swoich świątyniach w Częstochowie i Ostrej Bramie[1]), w cudownej grocie w Lourdes a przedewszystkiem w Medjolanie ze szczytu katedry i w bliskiem miejscu odpustowem w Rho, okazała, że Jej był miły nasz hołd pobożny, kiedyśmy w świętem miejscu łask w Loreto, po odbudowie tego, co zniszczył pożar, wznieśli znów Jej wizerunek czcigodny, u Nas na nowo utworzony i Naszemi własnemi rękami poświęcony i ukoronowany. I to był wspaniały i świetny tryumf Najświętszej Dziewicy, którą od Watykanu aż do Loreto, gdziekolwiek jej święty obraz przewożono, uczciła wiara ludu nieprzerwanym łańcuchem hołdów, składanych Jej przez wszystkie klasy narodu; w wielkiej liczbie wychodziły one na Jej spotkanie i w najżywszych wyrazach objawiały cześć swoją dla Marji i dla Namiestnika Chrystusowego.

[1]) Nasze podkreślenie. *Red.*

Pod wrażeniem tych smutnych i radosnych wydarzeń, których pamięć chcieliśmy przekazać potomności, wyjaśniało się Nam coraz więcej i lepiej to, co nam musiało najwięcej leżeć na sercu w ciągu Naszego Pontyfikatu i co uważaliśmy za swój obowiązek przedłożyć wam w tej pierwszej encyklice naszej.

Otóż wiadomo każdemu, że ani dla jednostek, ani dla społeczeństwa ludzkiego, ani dla narodów nie zawitał dotąd po wojnie nieszczęsnej prawdziwy pokój i że zawsze jeszcze nie zażywamy tego pracowitego i owocnego czasu spokojnego, do którego tęsknią wszyscy. Trzeba jednak przedewszystkiem zbadać wielkość i ciężar tego złego, a potem odkryć jego przyczyny i korzenie, jeżeli się pragnie, jak jest Naszym zamiarem, skutecznie mu zaradzić. I zgodnie z obowiązkiem Naszego Urzędu Apostolskiego zamyślamy tą encykliką zrobić początek i nie ustaniemy także na przyszłość w tych usiłowaniach. Ponieważ bowiem stosunki doby dzisiejszej są te same, które były powodem wielkiej troski dla Naszego Czcigodnego Poprzednika Benedykta XV przez cały czas jego Pontyfikatu, wynika z tego konsekwentnie, że i My podejmiemy te same myśli i troski, które jego zaprzątały. I trzeba pragnąć, żeby wszyscy dobrze myślący połączyli się z nami w usiłowaniu, aby u Boga uprosić prawdziwe i trwałe pojednanie dla ludzkości.

Dziwnie stosują się do naszego czasu słowa Proroków: „Czekaliśmy pokoju, a nie było dobra: czasu uleczenia, alić oto trwoga“ (Jer. 8, 15). „Czekaliśmy światłości, alić oto ciemność... czekaliśmy sądu, a niemasz go, zbawienia, a oddaliło się od nas“ (Izai. LIX, 9, 11). Chociaż bowiem od dłuższego czasu złożono broń w Europie, to przecież wiecie, że na blizkim Wschodzie grożą niebezpieczeństwa nowych wojen i tam, jak powiedzieliśmy, na wielkich przestrzeniach wszystko jest pełne grozy i nędzy, podczas gdy codziennie ogromne mnóstwo nieszczęśliwych, głównie starców, niewiast i dzieci, ginie z głodu, zarazy i rabunku; — a tam, gdzie wojna szalała, nie uspokoiła się jeszcze stara waśń, która bądź to w szacie polityki występuje, albo ukrywa się pod różnicą wartości pieniądza, albo bez osłony ujawnia się w dziennikach i czasopismach, a nawet przekracza granice tych rzeczy, które z natury swojej powinny być oddalone od wszelkiego cierpkiego sporu, jak uprawa sztuki i nauki. Tak dzieje się, że nienawiść i wzajemne urazy pomiędzy różnemi państwami nie pozwalają ludom zażyć pokoju; trwa też nadal nieprzyjaźń nie tylko między zwyciężonymi i zwycięscami, ale i między samymi narodami zwycięskimi, bo mniejsze żalą się na ucisk i wyzysk ze strony większych, a większe skarzą się na nienawiść i zasadzki ze strony mniejszych. I wszystkie państwa bez wyjątku odczuwają smutne skutki walki ukończonej, gorzej naturalnie zwyciężone, ale nie mało nawet i te, które wcale nie brały udziału w wojnie. A ponieważ odwleka się ich uleczenie, pogarszają się z każdym dniem coraz bardziej wszystkie te dolegliwości, tem więcej, że rozmaite wnioski i ponawiane próby polityków, mające na celu naprawę tych smutnych stosunków, były bezskuteczne, jeżeli ich jeszcze nie zaostrzyły. Gdy zatem obawa nowych i jeszcze straszniejszych wojen potęguje się coraz bardziej, muszą prawie wszystkie państwa żyć tak, jak w stanie wojennym. A podczas gdy przez to wyczerpuje się siła finansowa, niszczeje zarazem i sama siła narodowa i oprócz nauk doznaje i religijne i moralne życie ludów wielkiej szkody.

A co jeszcze bardziej jest pożałowania godnem: do nieprzyjaźni zewnętrznych między narodami przyłączają się jeszcze waśnie wewnętrzne, zagrażające ruiną nie tylko bytowi państwa, ale także społeczności ludzkiej. Na pierwszem miejscu trzeba wymienić walkę klasową, która jak wrzód zabójczy wżarła się w narody i zatruwa ich pracę, sztukę i handel, więc wszystko, co przyczynia się do dobra publicznego i prywatnego. Tę szkodę czyni jeszcze niebezpieczniejszą wzrastające ciągle pożądanie dóbr materjalnych z jednej strony, a z drugiej uporczywa nieustępliwość je posiadających, z obu zaś stron żądza posiadania i panowania. Stąd częste dobrowolne lub wymuszone przerwy w pracy, a także publiczne rokosze, natychmiast tłumione, a wreszcie ogólne niezadowolenie i utrapienie. Do tego jeszcze dołączają się walki stronictw o władzę w państwie, przyczem ścierające się partje nie mają zwykle szczerze na celu dobra publicznego, ale tylko szukają własnej korzyści ze szkodą całości. Tak widzimy, jak potem często powstają z tego spiski, intrygi, rabunki dokonywane na obywatelach, a nawet napady na sługi prawowitej władzy, jak dochodzi do gróźb i działań terorystycznych, do otwartego rokoszu i podobnych rozruchów, które wyrządzają szkodę tem większą, im większy jest udział ludu w życiu publicznem i w rządach, przyznany mu przez nowoczesny ustrój parlamentarny. Wprawdzie nauka Kościoła nie potępia tej formy rządu (jak nie sprzeciwia się żadnej sprawiedliwej i rozsądnej), ale jest rzeczą powszechnie wiadomą, jak łatwo ten ustrój nadwerężają intrygi partyjne.

(C. d. n.)

Z powodu „Ewangelji Bożego Narodzenia“ Prof. Ganszyńca.

Prof. Ganszyniec, uczony niewątpliwie dużej miary, do pracy naukowej zapalony, w stosunkach koleżeńskich miły i skromny, zrobił artykułem swoim o Ewangelji Bożego Nar. w numerze gwiazdkowym „Słowa Polskiego“ wielu bardzo niemiłą niespodziankę. Wyznaję, że pojąć nie mogę, jak artykuł ten z jego nazwiskiem mógł się zjawić. Wierzę, że ostateczna redakcja tego artykułu została ustaloną przez innych — wyjaśni to zapewne prawdopodobna odpowiedź Autora na wymowne uwagi X. Arc. Teodorowicza — ale nie można również przypuścić, by ktoś tu nadużył nazwiska Profesora Ganszyńca i dał do druku rzecz Autorowi całkiem obcą. W zasadzie — tak przypuszczam — za artykuł gwiazdkowy prof. Ganszyniec sam odpowiada. Złej woli mu nie przypisuję, raczej nierozwagę bym mu tu zarzucił. Nie mniej jednak sprowokowana opinja kół katolickich miasta słusznie a dobitnie zareagowała na tego rodzaju wywody. Czy mamy je uważać za wyraz osobistych przekonań Autora? Nie sądzę. Wydaje mi się, że prof. Ganszyniec całego tego artykułu głębiej nie przemyślał i nie przetrawił, lecz pospiesznie rzucił na papier myśli, jakie mu podsunęły prace „pewnych“ filologów niemieckich, w szczególności rozprawa Gressmanna o Ewangelji Bożego Narodzenia („Weihnachts-evangelium auf Ursprung u. Geschichte untersucht“. Sonderdruck aus Religion u. Geisteskultur. Göttingen 1914).

Prof. Ganszyniec, obracając się szereg lat śród tych kół filologów niemieckich, stracił widocznie czucie z katolicyzmem i nie zastanowił się nad tem, że opinja nasza katolicka podobne wywody może przyjąć jedynie z najwyższem oburzeniem. Artykuł jego jest oczywista tylko echem analogicznych poglądów śród wolnomyślnych Niemców. Ale właśnie dlatego, dziwię się mocno, że rzecz tak mało rozważona dostała się publiczności naszej na gwiazdkę. Bo nie jest to dorobek naukowy, ani rozprawka naukowa, ale garść uwag nie dość przemyślanych i garść frazesów często spotykanych w liberalnej teologji niemieckiej. Prof. Ganszyniec sprowokował w swoim artykule także teologję, więc mu się od teologji parę słów odpowiedzi należy, przyczem zaznaczę, że będę miał na względzie nie osobę Autora, lecz poglądy niemieckie, których on stał się echem, może nawet mimowolnem.

Autor dotknął w krótkim stosunkowo artykule mnóstwa zagadnień, które wymagałyby dłuższego omówienia i na innem miejscu byłyby odpowiedniejsze, ograniczę się tu zatem do kilku krótkich uwag.

Autor potraktował we wspomnianym artykule opowiadania św. Łukasza o narodzeniu P. Jezusa w Betlejem

jako piękne bajeczki. Dowód na to? Dowodów niema, ale gdzieżby się filolog niemiecki wysilał na szukanie ścisłych dowodów na poparcie jakiejś tezy? — Wystarczy pierwsza lepsza analogja, jakiś tekst paralelny, jakiś motyw wspólny, a rodzi się z a — b. Ma tu iść przecież o mit, o podania ludowe, o poezję: któżby się tu nawet silił na ścisłe dowody?

Ale jest niby dowód jeden, zdaje mi się, jedyny, na poparcie tezy Autora: popis Cyryna, o którym mówi św. Łukasz, dokonał się dopiero w 6 lub 7 roku po Chr., a więc w jakich 10 lat po narodzeniu Chrystusa: całe zatem opowiadanie o podróży Józefa i Marji z Nazaretu do Betlejem i narodzenie w Betlejem w stajence odpada jako zmyślone. Czy jednak tak stoi ta sprawa?

Ks. Klawek w swej rozprawie „Noc Betlejemska" poświęcił także tej sprawie parę uwag nie długich, lecz trafnych.[1]) Rzecz nie jest tak prosta, jakby to z artykułu prof. Ganszyńca wynikało. Był popis w r. 6—7 po Chr., ale mógł być także inny popis, za czasów jeszcze Heroda, około 10 lat wcześniej. Niema na to dowodów w źródłach świeckich, ale mówi to wyraźnie Łukasz, a Łukasz jest również poważnem źródłem współczesnem, i nie wolno go lekceważyć. W swoim czasie krytyka za legendę uważała Baltazara biblijnego: a jednak nowsza assyrjologja potwierdziła rzetelną prawdziwość księgi Daniela. Krytyka uważała za legendę Lizaniasza, tetrarchę Abileny: a jednak nowsza archeologja — jak to przyznaje nie podejrzany chyba o tendencje apologetyczne Edward Meyer w „Ursprung u. Anfänge des Christentums" przyznała zupełną słuszność Łukaszowi. Musi więc krytyka w swoim własnym interesie być nieco skromniejszą i ostrożniejszą.

Napis z Tivoli, któremu brak wprawdzie imienia wskutek uszkodzenia tablicy, ale Mommsen nie bez podstawy odniósł go właśnie do naszego Cyryna — głosi, że Quirinius jeśli tu rzeczywiście, jak chce Mommsen, o nim jest mowa, był dwakroć przez Augusta mianowany zarządcą Syrji.

W każdym razie Tacyt (Annales III 48) wspomina o pokonaniu przez Cyryna Homonadów w Cylicji, a walka ta mogła mieć miejsce ok. 748 od założ. Rzymu, kiedy to prawdopodobnie narodził się Jezus Chr. Jest więc także w świetle źródeł świeckich, do których świeżo przybywa odkrycie Ramsay'a — możliwy spis ludności wcześniejszy zgodny z relacją Łukasza. Jeśli zaś idzie o godzenie tekstu Łukasza z danemi ze źródeł świeckich, to każdy komentarz egzegety katolickiego do Ewangelji Łukasza — wymieniam tu choćby „Cztery Ewangelje" naszego Ks. Szczepańskiego — i prace innych pisarzy rzecz wyjaśniają w sposób wystarczający. Znowu dla przykładu podaję Felten'a „Neutestamentliche Zeitgeschichte, (t. I. str. 137—145; „Dictionnaire de la Bible" X. Vigouroux słowo Cyrinus. Przedwcześnie więc wyrokuje prof. Ganszyniec, że odpada motyw podróży z Nazaretu do Betlejem. Że zaś podróż do miejsca swojego dla popisu nie jest legendą, dowodzi dobrze znany prof. Gaszyńcowi Deissmann, który w „Licht vom Osten" podaje właśnie taki wypadek na podstawie niedawno znalezionych tekstów egipskich z r. 104 po Chr. (str. 195).

A zatem ten jedyny rzekomy dowód Prof. Ganszyńca wcale nie wyklucza prawdziwości opowiadania Łukaszowego, innych zaś dowodów, choćby pozornych, na poparcie swej tezy nie dostarczył wcale Reszta jego wywodów to fantazjowanie, czego klasycznym chyba przykładem jest ustęp o jaskini betlejemskiej i obchodzonych tam rzekomo uroczystościach na cześć Adonisa, Mithry, wreszcie Chrystusa. Czy znalazł coś o tem autor w monografji Baudissin'a o Adonisie i Esmunie, czy w materjałach i rozprawach Cumont'a o Mithrze? Nie znalazł nic, prawdopodobnie zresztą nawet nie szukał, bo byłby się dowiedział, że w Betlejem niema żadnych śladów ani pierwszego ani drugiego.

O czci Adonisa przy grocie betlejemskiej wspomniał Hieronim w liście ad Paulinum — ale Hieronim wyraźnie mówi, że kult ten wprowadził sztucznie Hadrjan po zniszczeniu Jerozolimy. Hadrjan założył tam gaj Adonisa — grota bowiem w kulcie Adonisa nie miała co robić — i gaj ten tam rósł, ale widocznie ludność tam Adonisa nie czciła, skoro nic o tem nie wspomina Justyn ani Origenes (Contra Celsum l. I. c. 51) w ustępie o grocie betlejemskiej, ani nawet dobre znajome Hieronima, żyjące w klasztorze betlejemskim, Paula i Eustochium w liście do Marcelli o miejscach świętych,

Ale niezmiernie zdziwiłby się św. Justyn, skąd ma on świadczyć za mithreum w grocie betlejemskiej w artykule Prof Ganszyńca? Justyn nic nie wie i nic z pewnością nie słyszał o czci Mithry w Betlejem, Justyn mówi w ciekawy sposób o kulcie Mithry w grotach w ogólności, uważa to za małpowanie djabelskie na podstawie proroctw starozakonnych (Dialogus cum Tryphone c. 70 i 78), które zapowiadały narodzenie się Mesjasza w grocie skalnej, ale mu i przez myśl nie przechodziło świadczyć, że w grocie betlejemskiej było miejsce czci Mithry, cała zatem gadanina o mithreum w Betlejem, o przeniesieniu tego mithreum na Chrystusa, o wtargnięciu do tej samej groty kultu Adonisa nie ma najmniejszej podstawy naukowej,

Ale podobną gadaniną są wywody o motywach wschodnich podań bohaterskich w odniesieniu do narodzenia Chrystusa.

Przedewszystkiem niema żadnego typu podania wschodniego o królach-zbawicielach czy bogach-Mesjaszach. To, co Autor podał w pobieżnym szkicu w formie drobnych wzmianek, jest w istocie rzeczy materjałem tak różnorodnym, że nawet zdolny filolog nic z tego nie zlepi. W każdem podaniu są inne motywy, w tem zresztą, co autor za motyw uważa, może być także niekiedy coś prawdy dziejowej. Tekst klinowy o Sargonie starym może podawać prawdę, niema w nim w każdym razie nic nieprawdopodobnego, podobnie jak w opowiadaniu o narodzeniu Mojżesza. A co ma wspólnego podanie o Romulusie i Remusie z Ewangelją Bożego Narodzenia? Pewne zresztą motywy w podaniach wschodnich, jak powitanie Mithry przez pasterzy lub staruszek Asita w podaniu o narodzeniu Buddhy, mogą właśnie mieć swoje źródło w odnośnych opowiadaniach ewangelicznych.

Nie mogę się tu puszczać na szerokie morze rozmaitych wyobrażeń mitologicznych i przeróżnych tekstów, któremi tak obficie szafują filologowie i które tak doskonale odpowiadają fantazji ludzkiej. Cóż w tem dziwnego, że o bohaterach i bogach tworzą się legendy i mity, że w tych podaniach jest mowa o cudach, a w tych cudach, związanych zwłaszcza z narodzeniem, powtarzają się niekiedy pewne motywy? Ludzka psyche jest przecież wszędzie ta sama, podobnie zawsze czuje i fantazuje. Tylko w szczególności filolodzy powinni dobrze pamiętać o przestrogach Clemen'a, że wykrycie pewnego podobieństwa między dwoma tekstami czy motywami jeszcze wcale nie dowodzi, że jeden powstał z drugiego i że jeden i drugi są tej samej natury Należy udowodnić, że np. podanie o narodzeniu Osirisa oddziałało na opowiadanie ewangeliczne u Łukasza, aby mieć prawo do hipotezy, że opowiadanie o narodzeniu u św. Łukasza jest legendą czy mitem, powstałym ze źródeł egipskich. Takiego jednak dowodu filologowie i mitologiści dotąd nie dostarczyli, dlatego wywody ich krytyka katolicka ma prawo uważać tylko za bajanie. Roz-

[1]) Przez dziwną jakąś nieuwagę Ks. prof Wilh. Michalski, omawiając tę rozprawę w „Miesięczniku katech.", zarzucił jej, że sprawę popisu Cyrynowego pomija. Tymczasem Ks. Klawek rzecz tę omawia na str. 55 i 56, w uwadze obszerniejszej na str. 56 wspomina o świeżem odkryciu Ramsay'a. a obecnie przygotowuje specjalny artykuł temu zagadnieniu poświęcony. To dla obrony rozprawki Ks. Klawka, której prof. Ganszyniec widocznie nie przeglądał.

malte hipotezy stawiali różni filologowie i krytycy — rozprawa Ks. Klawka podaje ich znaczną ilość — ale krytyka katolicka czuje się dotąd wobec nich całkiem dobrze. Tu właśnie miejsce wspomnieć też o uwagach teologicznych Prof. Ganszyńca.

Prof. Ganszyniec widocznie całkiem pomieszał teologizującą filologję wolnomyślnych Niemiec protestanckich z teologją chrześcijańską i dlatego zdawało mu się, że teologja wobec zdobyczy naukowych filologji coraz bardziej się cofa, że już niewielu teologów odważa się stosować zasadę historyczności w odniesieniu do Ewangelji, że Ewangelje nie mają chronologji, że musimy w nauce ściśle rozróżniać między Jezusem a Chrystusem itp. Teologji chrześcijańskiej o tem wszystkiem nawet się nie śni. Teologja chrześcijańska wie doskonale, że Ewangelje kanoniczne mają chronologję i to całkiem pewną przynajmniej co do niektórych zdarzeń, i że nie można oddzielać w Ewangeljach Jezusa od Chrystusa, gdyż Ewangelje znają i opowiadają tylko o jednym Jezusie Chrystusie.

Teologja chrześcijańska pomimo rzeczywiście wielkiej pracy filologów i krytyków w niczem nie zmieniła zasadniczego swego stanowiska, niczego się nie wyrzekła i od niczego nie odstąpiła. Teologja chrześcijańska trzyma się dalej swej dawnej tradycji, bo wie, że ta tradycja ma swoją naukową podstawę, ma za sobą wszelkie świadectwa historyczne i posiada dla życia indywidualnego, oraz zbiorowego, wprost bezgraniczne znaczenie. Teologja może cenić prace filologów i niejednokrotnie z nich korzystać, gdyż prace te w wielu razach także teologji na pożytek wychodzą: ale filologja fatalnie by się łudziła, gdyby wierzyła, że teologja pod toporem jej odkryć wyrzekła się dawnego skarbu i zmieniła zasadnicze swoje stanowisko.

Filologja stwarza chaos, którym na szczęście teologji chrześcijańskiej zarazić nie może.

Filologja winna być skromniejszą. Nie udało jej się dotąd rozwiązać w sposób ostateczny wielu zagadnień nawet ze swej dziedziny, skądżeż tedy pretensja rozstrzygania w zakresie zagadnień teologicznych?

Filologja wówczas dopiero może być przez wszystkich wdzięcznie widzianą, gdy będzie ogłędniejszą i gdy w swych badaniach nie zapomni o szacunku należnym tradycji chrześcijańskiej. Nie burzyć lekkomyślnie tej tradycji, nie kazić ducha naszej polskiej katolickiej kultury niedojrzałemi płodami wolnomyślnej nauki niemieckiej, ale stać w pracy na swoim własnym zagonie, by tę kulturę podnosić, by jej nowych sił dodawać, by ją nowemi zdobyczami pogłębiać i rozszerzać.

Wolno mi wyrazić nadzieję, że prof. Ganszyniec swego niepospolitego wykształcenia i swego zamiłowania do pracy naukowej użyje ku wzmacnianiu życia duchowego naszego narodu, nie ku rozbijaniu jego podstaw moralnych. Ale musi większą uwagę zwrócić na tradycję chrześcijańską i biblijną, z którą śladem pewnych filologów niemieckich nie po raz pierwszy obszedł się całkiem niewłaściwie.

Ks. Szydelski.

Poważne ostrzeżenie.

Kilka lat temu zaledwie jak Polska zmartwychwstała. Wyszła z długiej krwawej kąpieli, z długoletniego ucisku, z niewoli prawdziwie egipskiej. Zdawało się, że na widok zmartwychwstałej Ojczyzny wszystkie polskie serca zadrgają uczuciem niewysłowionego szczęścia i radości. Że na widok wolnej i niepodległej Matki wszyscy jej synowie rzucą się sobie w objęcia, zapomną wszelkich dawnych uraz czy krzywd wzajemnych i zgodnie zabiorą się do utrwalania bytu Ojczyzny, która choć wskrzeszona cudownie, jak ów Łazarz ewangeliczny, nosi jeszcze na swych rękach i nogach ślady swego długotrwałego śmiertelnego letargu.

Stało się inaczej. Człowiek, któremu powierzono utworzenie rządu w Polsce, powołał do tego dzieła ludzi partji, która walkę klasową wypisała w swoim programie, która swemu sztandarowi nadała kolor krwi, w swym „hymnie" partyjnym zieje straszliwą nienawiścią i pogardą dla innych klas i stanów, a ze swojej zdolności rządzenia zdaje od lat kilku w obliczu Europy i całego świata cywilizowanego tak krwawy egzamin w sąsiedniej Rosji.

Była to zła wróżba dla młodej Polski, był to fatalny początek, który nie kazał długo czekać na swe fatalne skutki. Rozpętała się rychło w Polsce walka klasowa i stanowa, prawdziwa wojna domowa, która trwa dotąd. Materjału nie zabrakło do niej ani w ludziach, ani w stosunkach. Wszak w samej Warszawie jeszcze w r. 1918, za gubernatorstwa Beselera, liczono tuzin stronnictw politycznych! Nie brakowało materjału bojowego także po wsiach wśród ludu polskiego. W dawnej Kongresówce istniały już zorganizowane kadry „Wyzwoleńców", czyli „Zaraniarzy"; w dawnej Galicji istnieli już zorganizowani „ludowcy" różnych odcieni, gotowi także puścić się obok socjałów, albo nawet z nimi razem, do walki ze znienawidzonymi „obszarnikami", „burżujami" i „klerykałami"! Nie brakowało też elementu żydowskiego, który Polski zgodnej i silnej wcale nie pragnął.

I rozpoczęła się walka, a widownią jej przykrą i wstrętną był Sejm ustawodawczy, przez kilka lat swego istnienia, ten Sejm, który z natury swej miał raczej lać balsam i oliwę w świeżo skrzepłe rany społeczeństwa polskiego.

Zamiast się zabrać do uregulowania waluty polskiej i położyć przez to tamę wzrastającej drożyźnie, zamiast uchwalić podatki dla zapełnienia pustego Skarbu polskiego, uznał Sejm za najpilniejszą sprawę uchwalenie „reformy rolnej", która uchwalona nikłą większością, z pianą nienawiści na ustach, tyle rozgoryczenia i nieufności wzajemnej wniosła, wnosi i wnosić będzie jeszcze bardzo długo w społeczeństwo nasze. Jakiemi pobudkami kierowali się jej główni twórcy i sprawcy, pokazuje się obecnie, gdy wbrew uchwale sejmowej, bez porozumienia się i zgody ze Stolicą Apostolską, parceluje się już grunta kościelne na Podlasiu z ogromną krzywdą ludu podlaskiego, bo za jego męczeństwo i wytrwałość w wierze, za jego dobrowolne zlanie się z żywiołem polskim, uniemożliwia się temu ludowi utrzymanie księdza własnego i parafji, gdyż zabiera się mu grunt kościelny, który w maleńkich parafjach stanowił główne źródło utrzymania proboszcza. Ta cząstka gruntu kościelnego, do tego jeszcze nieraz najlichsza, jaką się zostawia nie wystarczy w tutejszych warunkach na utrzymanie księdza i służby kościelnej. I parafje z trudem wielkim wskrzeszone już muszą być zwijane, a przynajmniej nie obsadzone.

Nie było czasu w ciągu czterech lat istnienia Sejmu ustawodawczego na uregulowanie waluty, na uchwalenie podatków, na zabezpieczenie bytu przymierającym z głodu emerytom państwowym, ale był czas na wygłaszanie i wysłuchanie bluźnierczych mów rozmaitych Putków, Czapińskich, Smołów i t. p., na zohydzanie się wzajemne, na wyzwiska miotane na obecnych i nieobecnych, choćby najzasłużeńszych w narodzie ludzi. I doszło w końcu do rozlewu krwi bratniej na ulicach Warszawy...

Nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć i przepowiedzieć, co tego rodzaju wojna domowa może Polsce zgotować w niedługim czasie. Podnosiły się też nieraz i podnoszą głosy serdecznego bólu i zgrozy na widok tego, co się u nas dzieje i jak najgorsze przepowiednie co do przyszłości Polski.

Ale brakowało dotąd podobnego okrzyku i podobnej publicznej przepowiedni ze strony tych, co najwyżej stoją w społeczeństwie polskiem, a więc najlepiej widzą i najdalej patrzą. Obecnie mamy i taki głos, a wyszedł on z pod

pióra J. Em. X. **Kardynała Aleksandra Kakowskiego**, Arcybiskupa warszawskiego. W liście swym pasterskim, wydanym na Boże Narodzenie r. 1922., przedstawia ten Dostojnik Kościoła smutny obraz wewnętrznych rozterek i kłótni domowych, jakich widownią jest Polska, a wezwawszy naród do zgody i miłości bratniej, tak pisze:

„A jeżeli się nie pogodzicie i nie pojednacie, jeżeli w rozterkach i kłótni trwać dalej będziecie, jeżeli władzy swojej szanować nie będziecie, to Polska nasza, gorąco przez wiek cały oczekiwana i pożądana, ta ukochana Polska nasza, jak cudem pomocy Bożej i wspólnym trudem naszym powstała, tak runie i upadnie z winy naszej. W waśniach naszych i zatargach poginiemy.

I pójdziemy w niewolę nową i nowych panów nad sobą znajdziemy. Obcy, okrutni nad nami przewodzić będą, odbiorą nam wolność naszą, którą się chlubimy i prawa nasze, któreśmy sobie nadali. I syny wasze brać będą i pola wasze najlepsze i domostwa wasze wezmą i rozdadzą sługom swoim; oni panować nad wami będą, a wy będziecie ich niewolnikami, jeżeli się nie upamiętacie w zaślepieniu waszem".

Słowa te arcypasterskie nabierają tem większej siły i doniosłości, że są one ogłoszone w Warszawie, stolicy Polski, wobec najwyższych władz i urzędów polskich, a także wobec licznie reprezentowanych posłów i delegatów państw zagranicznych, które losami Polski się interesują i na tego rodzaju enuncjacje zwracają uwagę.

W tej Warszawie kazać czytać w największe Święto, ze wszystkich ambon przestrogi i groźby, dowodzące, że byt Polski nie jest wcale tak pewny i niewzruszony, jak się to wielu politykom wydaje, że ona runąć na nowo w przepaść może, a nawet musi, jeżeli pójdzie dalej takim torem, jakim szła dotąd!

Na to potrzeba zaiste apostolskiej odwagi i gorliwości! Chwała Bogu, że jej nie brak w Episkopacie polskim!

I cóż na to powiecie pp. Daszyńscy i Putki, Witosy i Bojki? Czy z was który potrafiłby się zdobyć na podobną odezwę do swoich zwolenników?

Nigdy! Bo stanowisko, na którem stoicie, jest zbyt nizkie i partyjne, abyście mogli poznać i ocenić potrzeby całego narodu. A powtóre wybyście podobną odezwą sobie samym zadali kłam i poderwali odrazu nogi! Bo wy walką żyjecie, do walki a nie do zgody ciągle nawołujecie! Musielibyście przemaiować na inny kolor wasz sztandar i wasze hasła: „Niech żyje Polska robotnicza!" „Niech żyje Polska robotniczo-włościańska!" „Niech żyje Polska ludowa!" zamienić na inne hasło, jedynie słuszne i rozumne: „**Niech żyje Polska zgodna i sprawiedliwa dla wszystkich!**"

Czy słowa Kardynała Kakowskiego odniosą zamierzony skutek?

Mała nadzieja. Bo tu mamy do czynienia nie tyle może ze złą wolą i przewrotnością, ale z ciasnotą umysłową, z którą idzie zawsze w parze zarozumiałość i upór. To są politycy, którzy wpatrzeni są jedynie w swoje podwórko partyjne.

Przecie nam i cudzoziemcy życzliwi nie szczędzą dziś przestróg i napomnień, jak np. p. Jakób Bainville niedawno w czasopiśmie *„Action Francaise"*, ale tego rodzaju przestrogi nie czepiają się naszych ciasnych polityków. Oni należą do tych, którzy, gdy okręt tonie, tłumoczki swoje ratują! Cóż więc nas czeka? Oto nasi lewicowcy będą dalej stronić od zgody ze stronnictwami narodowemi i uprawiać politykę kłótni i nienawiści, będą dalej trzymać w swem ręku władzę, oparci na bloku mniejszości narodowych, który im chętnie użyczy swej pomocy, bo jemu na Polsce zgodnej i silnej nie zależy. Będą spychać dalej nawę ojczystą na mielizny i skały podwodne. A tymczasem nasi najwięksi nieprzyjaciele Niemcy i Moskale uporządkują swoje stosunki wewnętrzne i podadzą sobie ręce ponad Polską (co już dziś po części czynią) ku naszej zgubie i zagładzie. I przyjdzie do nowej strasznej wojny, w której Polska albo zginie sromotniej niż przed wiekiem (nie mogąc już zasłaniać się uprzywilejowaniem garstki szlachty a upośledzeniem politycznem mas ludowych), albo **może, może** wtedy dopiero złączy się i pogodzi i wytęży wszystkie swe siły do swej obrony, — n. b. jeżeli nie będzie już zapóźno, jeźli znajdzie pomoc u swych sojuszników, których radami i przestrogami dziś pogardza i którzy mogą sobie znaleźć tymczasem pewniejszą aliantkę.

W każdym razie słowa Arcypasterza stolicy Polski zasługują na najżywsze uznanie i wdzięczność.

Stanowią one nowy dowód, że Biskupi polscy są najwierniejszymi Stróżami i Obrońcami Polski, a nie „konspiratorami przeciwko Rzeczypospolitej polskiej", jak to śmiał bluznąć publicznie w Sejmie chorąży od czerwonej płachty w Polsce, niedoszły pierwszy premier gabinetu ministrów dnia 4 marca 1920 r.

Są one zarazem wskazówką, jak duchowieństwo polskie winno dziś przemawiać do narodu, zwłaszcza w czasie publicznych zjazdów i obchodów narodowych.

Nie cukierkami, nie pochlebstwami, nie kadzidłami, ani słodko brzmiącemi słówkami o Najjaśniejszej Rzeczypospolitej powinniśmy dziś karmić rozkapryszone, rozwichrzone i rozbawione społeczeństwo nasze, ale męskiemi, twardemi, nawet i gorzkiemi słowami prawdy! Słowa te, podane z miłością, ocukrzone zawsze na wstępie umiarkowaną pochwałą dla naszego narodu (co także uczynił na początku swego orędzia J. E. Kard. Kakowski) będą godne kapłanów polskich w tych groźnych, przełomowych dla Ojczyzny naszej czasach, w jakich nam żyć wypadło.

Może na nie będą zgrzytać zębami rodacy nasi, jak żydzi na słowa św. Szczepana, może sobie będą zatykać uszy, może nawet kamienować nas tak, jak żydzi swych proroków, — nie lękajmy się; spełnimy swój obowiązek, który zresztą dawno wytknął nam nasz Boski Mistrz swojem słowem i przykładem: *Veritas liberabit vos.* (Jan 8. 32).

X. Mateusz Jeż.

Do Duchowieństwa Polskiego.

Uniwersytet Lubelski, stworzony w chwili wyzwolenia naszej Ojczyzny na to, aby się stać jednym z potężnych czynników odrodzenia narodowego w duchu odwiecznej polskiej tradycji chrześcijańskiej, rozrósł się w ciągu czterech lat swego istnienia tak znacznie, iż dziś musi już znaleść oparcie w całem społeczeństwie, u tych wszystkich, którzy z głębi serca przywiązani są do Wiary i do Kościoła.

Liczy on, że w pierwszym rzędzie zainteresuje się gorąco jego doniosłemi zadaniami Duchowieństwo polskie, że nie będzie w Polsce ani jednego kapłana, któryby nie czuł się w obowiązku go poprzeć w miarę sił i środków.

Zwracamy się przeto z serdeczną prośbą do wszystkich Braci Kapłanów, aby się zapisywali na członków Towarzystwa Uniwersytetu Lubelskiego i aby w myśl § 7 naszego statutu wiązali się w Koła tak, iżby przynajmnici przez swych delegatów módz brać czynny udział w działalności Towarzystwa. Prosimy ich też usilnie, aby w sferach swych wpływów szerzyli zainteresowanie do spraw Uniwersytetu Katolickiego w Polsce i zrozumienie jego zadań i aby nam regularnie przesyłali do Sekretarjatu propagandy nazwiska i adresy tych osób, do którychby należało się zwrócić z prośbą o zapisanie się na członków Towarzystwa.

Jeśli ogół Duchowieństwa zwartym szeregiem stanie za nami i poprze nas całym swym wpływem, nie możemy

wątpić, że przy pomocy Bożej Uniwersytet Lubelski będzie coraz lepiej wypełniać te wielkie zadania, które Opatrzność Boża nań włożyła i że stanie sie coraz potężniejszym rozsadnikiem odwiecznej mądrości chrześcijańskiej w społeczeństwie polskiem.

O. Jacek Woroniecki O. P.
Rektor Uniwersytetu Lubelskiego i Przewodniczący Komitetu Towarzystwa Uniwersytetu Lubelskiego.

Lublin, Uniwersytet
1 stycznia 1923 r.

Nie wątpimy, że odezwa ta znajdzie wśród ogółu naszego Duchowieństwa całe zrozumienie, na jakie zasługuje i że każdy kapłan będzie sobie uważał za obowiązek sumienia poprzeć młodą Wszechnicę Lubelską w miarę sił i środków.

I wśród Duchowieństwa znajdą się liczne jednostki, którym trudno będzie zapisać się na członków czynnych ze składką 50 złotych polskich rocznie. Ci, dla których to będzie niemożliwem, zapisując się na członków wspierających (po 5 złotych polskich rocznie) i wiążąc się w Koła, będą mogli przez swych delegatów brać czynny udział w walnych zgromadzeniach Towarzystwa. Aczkolwiek Koło, aby mieć prawo członka czynnego, winno opłacać dziesięciokrotną wkładkę członka wspierającego, to jednak liczba jego członków jest ograniczona do 10; może ona być mniejsza lub większa, byleby Koło jako całość opłacało rocznie 50 złotych polskich. Komitet liczy, że Duchowieństwo nasze gorliwie zabierze się do zakładania podobnych Kół i że wkrótce każdy dziekanat, każde grono profesorów w seminarjach duchownych, każde koło prefektów będzie je miało w swem łonie.

Naturalnie to będzie jedna część pracy — drugą będzie energiczna propaganda w sferach świeckich wśród tych wszystkich, którym przywiązanie do Kościoła i zrozumienie interesów narodowych nie pozwoli nie doceniać ogromnej doniosłości Uniwersytetu Lubelskiego. I tu w pierwszym rzędzie Komitet liczy na intensywną akcję Duchowieństwa.

W akcji tej nie wystarczy pozyskiwać ludzi zamożniejszych, mogących znaczniejszą ofiarą przyczynić się do wielkiego dzieła, przeciwnie ona będzie musiała trafić do każdego, mogącego zrozumieć doniosłość placówki Lubelskiej i każdego w miarę środków pociągnąć do świadczeń na jej korzyść. Przyniesie to nie tylko korzyść Uniwersytetowi Lubelskiemu, ale przyczyni się do uświadomienia najszerszyym warstwom wiernych potrzeb wyższej kultury duchowej.

Przewidziane w statucie Koła członków wspierających doskonale się nadają do takiej akcji, pozwalają one bowiem, jakieśmy to już powiedzieli, zależnie od ilości członków Koła zmniejszać lub zwiększać wysokość wkładki, byleby Koło jako całość opłacało 50 złotych polskich rocznie. Komitet ufa, że z czasem każda parafja w Polsce będzie takie Koło tworzyć, pociągając do drobnych choćby wkładek najszersze warstwy ludności. Pozatem trzeba będzie zabiegać szczególnie w większych centrach o tworzenie Kół wśród ludzi jednego zawodu, zwracając się do ich zrzeszeń zawodowych.

Komitet postara się wkrótce zdobyć sobie w głównych naszych środowiskach mężów zaufania, którzyby pozostając z nim w ciągłym kontakcie, prowadzili intenzywną akcję zjednywania Towarzystwu członków.

Dodajemy dla zapobieżeuia nieporozumieniom, że w statucie wkładka oznaczona została w złotych dla uniknięcia ciągłego spadku dochodów. Wysokość wkładki w markach obliczać będziemy podług kursu złotego, jaki dla Pożyczki złotej ogłasza Pan Minister Skarbu. O kursie tym można się zawsze poin)ormować w każdym oddziale Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej. Ostatni kurs był ogłoszony dnia 8 stycznia r. b. i wynosił 2 300 marek polskich.

Sekretarjat Propagandy
Towarzystwa Uniwersytetu Lubelskiego.

Otrzymaliśmy pismo następujące:

Szanowna Redakcjo!

W imię zasady: „audiatur et altera pars" proszę o umieszczenie na łamach „G. K." następującego mego oświadczenia:

W odpowiedzi na pismo kilku P. T. Księży przemyskich, występujących w imieniu Koła XX. Katechetów, Kollegjum Wikarych katedralnych i Związku „Unitas" w Przemyślu, a ogłoszone w „Gazecie Kościelnej" z dnia 15 grudnia 1922 mam zaszczyt stwierdzić:

1) Nie ja „zaczepiłem" trzech P. T. Kapłanów przemyskich, w numerze 21 „Gazety Kościelnej" z 1922 r. podpisanych pod odezwą, — ale jedynie wystąpiłem przeciwko niesłusznym i zupełnie nieprawdziwym zarzutom, które stronnictwu kat.-ludowemu wyrządziły bardzo wielkie szkody i moralne i materjalne.

2) Ludzie poważni i wykształceni nie powinni wierzyć odrazu pierwszej lepszej bajce dziennikarskiej tembardziej, że mieli możność w bardzo łatwy sposób przekonać się o jej nieprawdziwości.

3) Za odezwę odpowiadają ci, którzy ją podpisali. O tem, że odezwę tę „ułożono na podstawie jednomyślnych uchwał, powziętych na kilku zebraniach ogółu kapłanów przemyskich", nie wiedziałem. Tem smutniejsze to teraz i boleśniejsze dla mnie, — skoro się o tem dowiedziałem, — że ogół P. T. Księży przemyskich, których zawsze bardzo wysoko ceniłem i cenię, — tak bezkrytycznie uwierzył tym razem niesłusznym zarzutom i wyrządził stronnictwu, które zawsze śmiało broniło praw Kościoła i spraw Duchowieństwa — ciężką krzywdę.

4) To, że odezwa P. T. Księży przemyskich „miała charakter poufny", nie zmienia istoty rzeczy, jeżeli zresztą można mówić o „poufności", skoro się coś rozsyła do kilkuset kapłanów. Albowiem prawo do obrony ma się i przeciwko „poufnym" zarzutom, zwłaszcza jeżeli one są nieprawdziwe, tak jak z drugiej strony nie ma się prawa oskarżać bezpodstawnie drugich i szkodzić im niesłusznie, choćby tylko „poufnie".

Tarnów, 19 grudnia 1922.

Ks. Dr. Józef Lubelski.

Św. Michał czy Św. Stanisław?

Święta Patronów krajów, diecezji etc. nie są według nowego prawa (can. 1247 § 1 i 2) świętami uroczystemi, ale u nas odprawia się nadal w kościołach w te dni, podobnie jak w inne zniesione przez Piusa X-go święta, nabożeństwa świąteczne. Dni te są obchodzone w szkole jako świąteczne, wiele urzędów i instytucji zamyka swe biura, wielu kupców zamyka sklepy, tak, że na zewnątrz mają te dni nadal cechę święta.

Polska czci jako swego Patrona, świętego biskupa męczennika Stanisława, a dzień 8-go maja jest w naszem państwie dniem quasi-świątecznym. Niestety nie cała Polska! W byłym zaborze austrjackim, w b. p. Królestwie Galicji i Lodomerji (w tym razie bez W. Księstwa Krakowskiego) obchodzono jako Patrona uroczystość Św. Michała Arch. dnia 29-go września. W Austrji bowiem obchodziła każda prowincja święto swego Patrona jako festum de praecepto. Obchodzono zatem święto św. Michała jako Patrona kraju, czyli prowincji w archid. lwowskiej, przemyskiej, tarnowskiej, a nawet krakowskiej po Wisłę.

Galicja i Lodomerja przestały szczęśliwie istnieć, zatem „Patronus principalis provinciae", jak nazwano to

święto jeszcze w kalendarzu naszej archid., zatwierdzonym w Rzymie w r. 1914, nie może istnieć. Wprawdzie nasza rubrycela z r. 1923 nazywa św. Michała „Patronus Minoris Poloniae", ale to czysta fikcja! Kraków, stolica Małopolski, obchodził i obchodzi jako Patrona Św. Stanisława, a Św. Archanioł Michał był Patronem ziem ruskich (był nawet w herbie wojew. ruskiego), a nigdy Małopolski.

Należałoby koniecznie usunąć to wyodrębnienie „Galicji Wschodniej" i to sięgające daleko poza linję Curzona, a upodobnić się liturgicznie do całej Polski. Bez trudności możnaby uzyskać w Rzymie wyniesienie święta Św. Stanisława do godności „dx. I. classis cum Octava", tem bardziej, że do r. 1914 obchodzono i u nas w ten sposób tę uroczystość, a Dedicatio S Michaëlis Arch. straciłoby swą oktawę. Ta zmiana w liturgji, ta „unifikacja" z resztą państwa uświadomiłaby także nasz lud na kresach o jego przynależności do Polski.

X. A. G.

„Bóg w arendzie".

Pod takim zagadkowym tytułem wygłosił 15 I. b. r. we Lwowie wykład znany pisarz K. H. Rostworowski, autor dramatów: „Judasz z Karjotu", „Kajus Cezar Kaligula", „Miłosierdzie", „Straszne dzieci" i „Zmartwychwstanie". Niestety na wykładzie było stosunkowo mało słuchaczy, a wśród tych przeważali żydzi. Wykład bowiem zasługiwał za wszech miar na inne przyjęcie. R. znany jest ze swojej działalności pisarskiej i dziennikarskiej jako nietylko pisarz, twórca, ale jako działacz religijno-etyczny. — Wszystkie jego dzieła i artykuły mają zawsze poza wybitną wartością artystyczną jeszcze wartość tę, że autor wprost i wyraźnie zamierza tą drogą pobudzić ludzi do wyrwania się z materjalizmu, wzniesienia się na wyżyny ideału katolickiej nauki, wprowadzenia jej raz już nareszcie w czyn, w życie codzienne prywatne i publiczne. Wobec takiego stanowiska katolicy mogą tylko z radością i wdzięcznością przyjąć wystąpienia i dzieła tego pisarza.

W odczycie swoim R., dążąc do tego samego celu, do wykazania, że poza chlebem, cukrem, papierkami są ideały wyższe, wartości wieczne, w pierwszej części zbił racjonalizm i wykazał, jak on prowadzi do materjalizmu i fenomenalizmu. W drugiej części starał się udowodnić potrzebę uznania idei Boga i zajęcia względem niej praktycznego stanowiska. Zarzuca on bowiem ludziom, że ich stosunek do Boga jest dyletancki, że są przeważnie tylko dewotki i indyferentni. Ambona już dzisiaj — nie ze swojej zresztą tylko winy — nie interesuje ludzi problemem religijnym, dlatego on stara się wykładami i dziełami drogą inną ludzi dla religji zainteresować. Wyznał też otwarcie, że po 15 latach bezwyznaniowości wrócił do wiary katolickiej, a studja filozoficzno-psychologiczne (u Wundta) sprawiły to, że teraz z głębokiego przekonania klęka przed szopką i śpiewa: „Bóg się rodzi". W ostatniej części zaś wykazał, jak materjalizm opanował dzisiejszych ludzi nawet w zakresie religji. Idea Boga winna człowieka wznieść ponad ziemię, ku wyżynom, powinna w nim rozbudzić cnoty ofiarności, poświęcenia, miłości bliźniego. Tego właśnie dzisiaj brakuje nawet wśród tych, którzy ideę Boga uznają, bo oni Boga mają „w arendzie". Dopóty wierzą, dopóki to nie sprzeciwia się interesowi własnemu i kieszeni. Gdy trzeba coś ofiarować, pocierpieć, Boga z arendy się wypuszcza, bo się nie opłaca. Takie jednak postępowanie jest przeciwne idei Bożej, poniża ideę człowieczeństwa, rozsadza stosunki ludzkie, niszczy religję w zarodku, rujnuje podstawy idealne i materjalne budowy Ojczyzny. Tę grozę położenia odczuł i odmalował R. bardzo silnie i z nadzwyczajną mocą wołał do odwrotu ze złej drogi.

Idee, poruszone w wykładzie, wyjaśnił szerzej R. w dramacie swoim najnowszym p. t. „Zmartwychwstanie". Motto do niego bierze ze znanego wiersza Mickiewicza: „Mówisz: niech sobie ludzie nie kochają Boga, byle im była cnota i Ojczyzna droga. Głupiec mówi: niech sobie źródło wyschnie w górach, byle mi płynęła woda w miejskich rurach." W czterech zaś częściach jego dzieła Mickiewicz, wezwany przez mowców, zstępuje z pomnika i chodzi wśród dzisiejszego społeczeństwa. Idzie najpierw do dworu i do wsi („Godzina miłości"), potem jest w salonie stołecznym wśród posłów („godzina rozpaczy"), wreszcie znowu pod pomnikiem („godzina przestrogi"). Pierwsi poszli za nim i zrozumieli, sfery rządzące, wyższe odtrącają, nie rozumieją wskazań i wezwań wieszcza. A on ciągle woła (str. 94): „A potem oczyściwszy z kramów polską ziemię, trzeba uczyć, jak Chrystus Pan w Jeruzalemie, wołając wielkim głosem: „Miejcie wiarę Bożą" albowiem pięści wasze świata nie zatrwożą". „Słuchaj, słuchaj, nieszczęsny narodzie, i pomnij, że z Cyklopem zbratanego cara nie pokona twój rozum, ale twoja wiara!". A dalej do przywódcy, który się opiera: „Odkop groby, gdzie legli żołnierze, porachuj na ich piersiach wiszące szkaplerze i rozważ w głębi duszy wynik głosowania a powiesz; cała armja żąda zmartwychwstania"!

Lecz dość cytatów. Trzeba to wołanie wielokrotnem echem roznieść po Ojczyźnie całej. Są wprawdzie w rozumowaniach R. pewne jeszcze niejasności w pojęciach i wyrażeniach, które mogą budzić wątpliwości w teologicznie wyszkolonych katolikach. R. ma to wspólne z innymi konwertytami, ale że jest pełen dobrej woli, napewno nie chce głosić herezyj i te niejasności jego tak wytrwale i z takim zapałem dla siebie i dla innych szukający prawdy umysł z czasem usunie. W każdym razie działalność jego dla duszpasterstwa może być bardzo owocna. Trzebaby nam więcej takich odczytów i wykładów, takich przedstawień, dramatów. To na nowe czasy nowa droga zainteresowania problemem religijnym tych ludzi, których ambona nie interesuje.

X. M. Rękas.

Stanisław Wasylewski.

(Szkic sprawozdawczy).

Gdyby te wszystkie postaci przeszłości dalszej i bliższej, które nam Stanisław Wasylewski przedstawia jak żywe, ożyły na prawdę, zapewne miałyby dla autora słowa cierpkie i gniewne. Nie wyłączając największych.

Mickiewicz za poufałe niedyskrecje o swoich latach młodych, odwróciłby się od naszego autora, tak jak się odwrócił od tych dwóch młodzieńców przybyłych aż z Litwy do Paryża, zbytnio ciekawych wyglądu „pana Mickiewicza". Słowacki, Krasiński mieliby dlań może tę zimną rezerwę, jaką okazywali natrętom za życia. A mniejszych jak Fredro, Skarbek, Pol, Goszczyński i tylu innych, nie mówiąc już o rozmaitych paniach polskich dawnego wielkiego świata, zapewne nikt nie byłby zadowolony. Kto jest Stanisław Wasylewski, jaka jego dotychczasowa twórczość?

Stanisław Wasylewski jest pisarzem młodym, ale bardzo już szeroko znanym i popularnym. Jego książki mają wprost nieprawdopodobne powodzenie. To jest główna przyczyna, dla której zamieszczono ten szkic. Mogą wpaść łatwo w ręce młodzieży; mieć więc o nich wiadomość jakąś, choćby ogólną, wiedzieć, czy są lekturą przydatną, kształcącą, to może nie być bez pożytku. Kto nie ma czasu, sposobności czy ochoty do prac Wasylewskiego zaglądnąć i wyrobić sobie własne zdanie, może nie pogardzi kilku uwagami, jakie się nasunęły ich czytelnikowi.

Nie będziemy podawali ani szczególowego spisu książek Wasylewskiego ani tembardziej ich szczególowego streszczenia. Wystarczy zaznaczyć, że prace Wasylewskiego są to szkice obyczajowe, w których zajmuje się głównie kulturą towarzyską w dawnej Polsce.

Dwie epoki naszej przeszłości interesują go dotychczas najbardziej, czasy Stanisława Augusta i romantyzmu. Dał o nich dwie książki, wprawdzie nie wolne od braków poważnych (o których niżej), ale zadziwiające intuicją, wniknięciem w ducha epoki, a także zaletami literackiemi: „Na dworze Króla Stasia“ i „O miłości romantycznej.“

Jednak jego zainteresowania nie ograniczają się tylko do tych czasów. Zresztą to talent, który się wciąż i to szybko rozwija. Nie wiemy, jakie są przed nim drogi i twórcze możliwości. Ostatniego więc słowa o nim powiedzieć nie można.

Pociąga go nie tylko epoka Stanisława Augusta ale cały wiek XVIII („Romans Frabatki“, „U księżnej Pani“), chociaż najswobodniej obraca się na dworze Króla Stasia. W w. XIX zajmuje się głównie romantyzmem polskim.

Z początków tego wieku nie mogła go oczywiście nie zająć epopeja Napoleońska i jej ślady w Polsce („Szambelanowa z Walewic“, „Bonaparte“). Człowiek, który swoją osobą i swoją pychą zajął całe pierwsze ćwierćwiecze XIX stulecia, genjalny niewątpliwie, ale nie z tych, o których ludzkość mówi z czcią i miłością, miał w Polsce wielbicieli gorących, nawet wśród największych, którzy w nim człowieka misją Bożą obdarzonego widzieli (Mickiewicz), niewielu miał takich jak Kościuszko, którzy się na nim poznać umieli. W każdym razie w historji polskiej i umysłach polskich on w tych pierwszych latach XIX w. niepodzielnie panuje. Stosunkowo mało zajmuje się nim Wasylewski. Mało także zajmuje go Kościuszkowska insurekcja, powstania: listopadowe i styczniowe. Za to pociąga go głównie romantyzm i — rzecz dziwna — Lwów XIX w. i wcześniejszy, od kiedy w nim zamieszkał austrjacki gubernator. Dał o Lwowie książkę p. t. „Historje Lwowskie“, gdzie znów w szeregu szkiców bardzo barwnych daje obraz ludzi i czasów. Czy tak subtelny i wnikający jak Stanisława Augusta albo romantyzmu? Niech pytanie starczy za odpowiedź. W jednem tylko różnice, naszem zdaniem, na lepsze: mniej „skłonności do konceptu“, za to więcej faktów historycznych, pewnych, dobrze wybranych, ciekawie oświetlonych.

„W srebrnym dworku z modrzewia“ i „W klasztornej celi“ (czy wyszło?) nie są mi niestety znane, niech więc tylko zostanie wiadomość, że takie prace Wasylewskiego istnieją.

Te oryginalne prace twórczości Wasylewskiego nie wyczerpują. Literatura polska policzy mu za zasługę jeszcze wydawnictwo dawnych pamiętników, które redaguje i prowadzi p. t. „Gawędy o dawnym obyczaju“. Jest to wybór pamiętników XVIII i XIX w. przeważnie nie znanych albo zapomnianych.

Dotychczas wyszło tomów pięć: 1) „Przypadki Króla Jegomości“ (znów Stanisław August!)

2) „Złote czasy i wywczasy“: pamiętnik nie znany Ludwika Jabłonowskiego, naszem zdaniem jednak przeceniany przez Wasylewskiego.

3) „Opowieści dziewczęce“: rzecz oryginalnie pomyślana, jako wybór pamiętników panien polskich od połowy w. XVIII aż do styczniowego powstania. Nie przyzwyzwyczailiśmy się do takich źródeł historycznych, ale zbiór ciekawy. 4) „Bonaparte“: nie znany mi zbiór wspomnień i pamiętników polskich żołnierzy o Napoleonie. 5) „Sprawy ponure“, coś w rodzaju „Prawem i lewem“ Łozińskiego, czyli sprawy kryminalne i zbrodnie XVIII w. Jako przyczynek do obyczajowości tych czasów bardzo dobre i potrzebne.

Dla ścisłości należy zaznaczyć, że prócz tego jest jeszcze jeden zbiór dokonany przez Wasylewskiego p. t. „Dykteryjki i facecje z dawnych czasów.“ W ostatnim roku wyszedł: „Sztambuch — skarbnica romantyzmu“ wybrane wiersze i zdania różnych znakomitości w sztambuchach polskich romantycznych, zbiór poprzedzony wstępem, który należy do najpiękniejszych szkiców, jakie Wasylewski napisał, a jest bezsprzecznie jedną z najlepszych rzeczy w tym rodzaju.

Taki jest mniej więcej plon literacki Wasylewskiego. Być może, że jest jego prac więcej, rozsianych po czasopismach. O ile się nie mylę, jest autorem: „Bibliografji historji, literatury i krytyki literackiej polskiej za rok 1904“. Prócz tego zapewne wiele artykułów przygodnych w prasie. I znów, o ile się bardzo nie mylimy, próbował się nawet na polu humorystyki, pisząc pod pseudonimem Jan Bury zbiór humoresek i mnóstwo w „Szczutku“.

W tem miejscu chcemy jeszcze jedną rzecz zaznaczyć, którą nazwalibyśmy techniką pisarską Wasylewskiego. We wszystkich jego książkach uderza mianowicie ich oryginalna konstrukcja. Różni się w niej dość znacznie od Łozińskiego, a przypomina znane prace i słusznie cenione Franciszka Jaworskiego. Każda książka jest zbiorem oddzielnych szkiców krótkich, z których wprawdzie każdy jest całością, ale dopiero wszystkie razem składają się na obraz epoki czy kierunku, Tak, żeby rzecz objaśnić przykładem, kto czytał „O miłości romantycznej“, zauważył niewątpliwie, że np. opowiadanie „O poruczniku Malczewskim“ jest nietylko przedstawieniem typowej postaci romantyka, co było Wasylewskiemu potrzebne do ogólnego założenia, ale równocześnie bardzo cennym przyczynkiem do charakterystyki poety. Na razie przedstawiamy sam fakt konstrukcji jego prac, wnioski wyciągniemy poniżej.

Ale przejdźmy do ogólnej charakterystyki Wasylewskiego i postawmy sobie pytanie, jakim jest rodzaj tego talentu?

Zacznijmy od pochwał.

Talent naprzód na wskróś oryginalny. Rzecz pewna, że nikt jeszcze tak u nas nie pisał. To wychodzi mu na chwałę, jest dowodem samodzielności, własnych dróg twórczych. Prof. Kallenbach, który napisał przedmowę do pierwszej pracy Wasylewskiego „U Księżnej Pani“ już wtedy, chociaż praca jest od późniejszych słabsza, mógł powiedzieć słusznie: „Nawet bardzo wymagający czytelnik przyznać musi, że autor niniejszego zbiorku ma już całkiem wyraźny profil literacki, że kroczy własnemi drogami...“

Nie miał u nas wprawdzie wzorów, ale miał tych, którzy mu jego drogę umożliwili. Łoziński np. chociaż się od Wasylewskiego bardzo różni uczonością głęboką swych prac, miał formę ani mniej lekką ani mniej piękną od Wasylewskiego; Chłędowski, pisarz nieraz bardzo obrażający uczucie katolickie i wstrząsający niem do głębi, miał przecie talent i rodzaj twórczości do Wasylewskiego bardzo zbliżony. Ale mimo to Wasylewskiego nie można nazwać ich naśladowcą. Czy nie był zależnym ob obcych, od Francuzów zwłaszcza, to inne pytanie, na które nie umiemy dać odpowiedzi.

Dwie jeszcze rzeczy można i trzeba podnieść na pochwałę Wasylewskiego: głęboką intuicję i piękność języka.

Intuicja jest rzeczywiście zadziwiająca. Jest ona obok sposobu pisania jedną z tajemnic powodzenia jego prac. Ma on zdolność, którą mu każdy przyznać musi: zdolność wnikania w ducha badanej przez siebie epoki. Umie doskonale wyczuć to, co nazywamy duchem czasu. Wprost nigdzie żadnej epoki nie opisuje, nie określa, ale pokazuje nam żywych ludzi. Dlatego jest właściwie twórcą nie odtwórcą, bo chociaż korzysta ze źródeł, ale tych papierowych ludzi czyni żywymi tą czarodziejską, niepojętą mocą, która się nazywa talentem twórczym.

Język bardzo piękny a nadewszystko własny. To już bardzo wiele. Są pisarze nieraz szeroko znani i zdolni bez własnego, oryginalnego stylu. Tymczasem kto Wasylewskiego czytał, ten jego pióro pozna odrazu. Można mu wprawdzie uczynić pewne zarzuty: wolelibyśmy np. ażeby język był czystszy, wolny od zbyt częstych, obcych wyrazów, nie tak

pełen zwrotów niespodzianych, polujących na efekt chwilowy. Ale, z tym wyjątkiem, trzeba powiedzieć, że ma styl przedziwnie giętki, lekki i barwny.

Nie wszystko jednak można u Wasylewskiego chwalić, Pierwszy zarzut — to ten rodzaj jego twórczości, który się określić nie da. Czy to powieść czy praca historyczna? Kim jest Wasylewski, uczonym czy literatem? On sam, jeśli dobrze go rozumiemy, uważa się za „badacza kultury obyczajów" („O miłości rom." str. 143). Z tych słów wynikałoby, że on ma zamiar czy pretensję pisać jak badacz, jak uczony.

Rozpatrzmy to.

(Dok. nast.)

X. Adam Gyurkovich.

Śp. Tadeusz Pilat.

9 stycznia r. b. zmarł we Lwowie w 79 r. życia weteran nauki i pracy publicznej, zapomniany już nieco przez dzisiejsze pokolenie, jakkolwiek do ostatniej chwili życia czynny, prof. Dr. Tadeusz Pilat.

Syn Stanisława, zasłużonego pedagoga i właściciela pensjonatu, w którym w połowie ubiegłego wieku kształciła się młodzież pierwszych domów, wyniósł z domu rodzicielskiego silne zasady religijne, miłość Ojczyzny, zamiłowanie do pracy, nauki i kultury i zasadom tym i umiłowaniom przez całe życie pozostał wiernym. Jeżeli o kim, to o nim można powiedzieć, że ani chwili w życiu nie zmarnował.

Wychowanek lwowskiego uniwersytetu, habilituje się na uniwersytecie w czasie służby w namiestnictwie do ekonomji, statystyki i administracji i jako młody profesor wyjeżdża w r. 1872 z inicjatywy ówczesnego marszałka krajowego Galicji ks. Leona Sapiehy na specjalne studja i praktykę do sławnego Engla w Berlinie, dyrektora państwowego urzędu statystycznego. Po powrocie stamtąd zakłada i organizuje Krajowe Biuro statystyczne przy Wydziale krajowym i kieruje niem bez przerwy blizko pół wieku, bo do r. 1920. — Prace Biura statystycznego, ogłoszone drukiem w kilkudziesięciu tomach „Wiadomości statystycznych o stosunkach krajowych", służyły za podstawę prac ustawodawczych tudzież naukowych i zarządzeń administracyjnych, dotyczących Galicji w ostatnim półwieku. Stanowisko, jakie odrazu w pierwszych latach tego Biura wyrobił sobie jego kierownik, charakteryzują najlepiej słowa najpoważniejszego wówczas miesięcznika w kraju, krakowskiego „Przeglądu Polskiego", który dał wyraz radości, że dzięki osiągnięciu przepisanego wieku tj. lat 30-tu mógł kierownik tego Biura wejść do Sejmu, jako oddawna już pożądana w nim siła Zasiadał też jako poseł wielkiej własności w Sejmie galicyjskim przez 5 kadencji. W ostatnich dwóch kadencjach tj. od 1901 do 1914 a następnie przez czas wojny do r. 1920 był nadto członkiem Wydziału krajowego, szefem departamentu rolniczego i zastępcą marszałka krajowego w tym Wydziale Mianowany więc jeszcze przez pierwszego marszałka, pracuje w tej najwyższej krajowej autonomicznej magistraturze, która była prawdziwym rządem polskim w tej dzielnicy, pod wszystkimi z kolei marszałkami a w ostatnich 20 latach jako zastępca czterech ostatnich marszałków. Nie było przez cały ten czas w Sejmie i w Wydziale krajowym sprawy dotyczącej stosunków ekonomicznych, administracyjnych i samorządu, w którejby śp. Dr. Pilat nie współpracował w wybitnym nieraz stopniu.

W Komitecie Galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego piastuje przez kilkadziesiąt lat jako zastępca prezesa ks. Adama Sapiehy najważniejsze referaty, mianowany w końcu w uznaniu zasług dla rolnictwa krajowego członkiem honorowym tego Towarzystwa.

Przedewszystkiem jednak pracuje na polu naukowem. Przez trzy dziesiątki lat wykłada statystykę, naukę administracji i prawo administracyjne na uniwersytecie lwowskim, którego był rektorem w r. 1886/87. W r. 1902, wybrany członkiem Wydziału krajowego rozstaje się z uniwersytetem, przechodząc na emeryturę. Ale już po 7-miu latach wraca do ulubionych wykładów w charakterze honorowego profesora i jest nim aż do śmierci, rozwijając podziwienia godną czynność na tym urzędzie. Napisał kilkadziesiąt prac naukowych w jezyku polskim, francuskim i niemieckim, nie licząc mnóstwa drobnych rozpraw i artykułów. Był prawdziwym pionjerem nauki polskiej na polu statystyki, administracji i prawa administracyjnego. W uznaniu zasług naukowych powołany został przed 40-tu laty na członka Polskiej Akademji Umiejętności w Krakowie, następnie Polskiego Towarzystwa naukowego we Lwowie a nadto znakomitych instytucji naukowych zagranicznych. W ostatnich latach przed wojną zasiadał w państwowej ankiecie dla reformy administracji w gronie najznakomitszych uczonych i praktyków z całego państwa.

Nie możemy wreszcie na tem miejscu nie podnieść jeszcze jednej strony działalności Zmarłego, mianowicie na polu ruchu katolickiego.

Nie brakło nigdy we Lwowie żywych ognisk tego ruchu. W połowie XIX wieku kupi się życie katolickiego we Lwowie około X. Seweryna Morawskiego, późniejszego Arcybiskupa i Kaliksta Orłowskiego, założycieli Towarzystwa św. Wincentego à Paulo we Lwowie, w siedemdziesiątych latach około X. Edwarda Podolskiego, i redagowanego przezeń „Przeglądu lwowskiego", w ośmdziesiątych około X. Walerjana Kalinki. W ostatnim dziesiątku pod wpływem Encykliki „Rerum novarum" budzi się i we Lwowie silniejszy ruch na polu społecznej i politycznej organizacji katolickiej inteligencji i robotników, około założenia katolickiej prasy robotniczej i dziennika katolickiego. Do grona mężów, przodujących tym pracom, obok XX. Henryka Jackowskiego i Jana Badeniego z T. J., X. Eustachego Skrochowskiego i prof. Maksymiljana Thulliego należał prof. Pilat, najściślejszą przyjaźnią związany z ówczesnym sufraganem lwowskim, późniejszym Biskupem krakowskim i Kardynałem Janem Puzyną. Wziął udział w I. wiecu katolickim w r. 1893 w Krakowie i jako Prezes Komitetu zorganizował w r. 1896 II. wiec katolicki we Lwowie, stanowiący ważny etap w rozwoju organizacji katolickiej tej dzielnicy. Z rąk Ojca świętego Leona XIII otrzymał też komandorję Orderu św. Grzegorza.

Ze śp. Tadeuszem Pilatem zstąpił do grobu mąż rozległej wiedzy, wyjątkowej pracowitości i wielkich zasług położonych na rozlicznych polach.

Cześć jego pamięci! Spokój jego duszy!

M.

Nowe książki.

Ks. Jan Urban T. J. „M a k r y n a M i e c z y s ł a w s k a w ś w i e t l e p r a w d y". Kraków 1923. (Stron 139).

Już od dawna wypowiadali niektórzy powątpiewanie uzasadnione poważnemi racjami, o autentyczności rzekomej ksieni Bazyljanek, która miała znosić straszne męczarnie za wiarę od schizmatyków rosyjskich a w szczególności od osławionego Siemaszki. Uwierzył jej arcybiskup Przyłuski, a potem X. Jelowicki i inni Zmartwychwstańcy, arcyb. Ledochowski, uwierzyli nawet dwaj papieże: Grzegorz XVI i Pius IX. Sławę jej rozgłosiły dzienniki francuskie, uczcili ją także Mickiewicz i Słowacki. Dla niej założono klasztor w Rzymie, w którym uczyniono ją ksienią. Wprawdzie rząd rosyjski zaprzeczał stanowczo jej oskarżeniom i zapewniał, że nigdy nie istniała Bazyljanka tego nazwiska w jego państwie, ale to zapewnienie uważano za niegodne wiary.

Otóż czcig. Redaktor „Przeglądu Powszechnego“ postanowił zbadać tę sprawę gruntownie i oświetlił ją tak, że już chyba nikt nie będzie wątpił, iż owa „Matka Makryna“ byłą o s z u s t k ą. Żaden bowiem klasztor Bazyljanek nie miał ksieni nazwiskiem „Mieczysławska“, jak dowodzą znalezione dotąd spisy; w czasie kasaty klasztoru mińskiego była ksienią Prakseda czyli Praskowia Lewszecka. O żadnej Mieczysławskiej nie wiedziała nic Antonina Leśniowska, która była wówczas w klasztorze mińskim i której opowiadanie o losach tego klasztoru i jego mieszkanek, o wizytach Siemaszki itd. różni się we wszystkich szczegółach od tego, co rozgłaszała Makryna (p. str. 109 n.), której właściwe nazwisko było, jak domyśla się autor na podstawie pewnych inrformacji: Wińczowa.

Rozprawa ta jest bardzo zajmującym i cennym przyczynkiem do dziejów Kościoła naszego i narodu w ostatniem stuleciu. *X. A. P.*

„S z k i c e p r z e m ó w i e ń“. Drukowane jako manuskrypt. Str. 15 w 8 ce. Cena 200 m. (i porto). Zamówienie adresować: Cieszyn. Dziedzictwo błog. Jana Sarkandra.

Są to szkice kazań, napisane przed wyborami do sejmu śląskiego i do sejmu i senatu Rpltej, na tematy następujące: I. Religja nie jest rzeczą prywatną, lecz publiczną. II. Małżeństwo i szkoła. III. Prawdziwa wiara największym skarbem człowieka. IV. Kościół katolicki największy nasz dobroczyńca. V. Kościół katolicki i państwo. VI. Życie religijne w państwie bezreligijnem, VII. Spełnij ważny obowiązek!

Jakkolwiek autorzy (nie wymienieni) tych szkiców mieli na względzie zbliżające się wybory, które już są skończone, to przecież osnowa ich nauk, dobrze obmyślanych, może przydać się bardzo i po wyborach niejednemu z kaznodziei mniej wprawnych, a zwłaszcza szkic pierwszy. *X. P.*

Dr. Paul Wilhelm von Keppler. „W a n d e r f a h r t e n u n d W a l l f a h r t e n i m O r i e n t 8-te bis 10-te Aufl. Freiburg i. Br. Herder 1922. Stron 575 w dużej 8-ce.

Biskup Keppler w Rottenburgu wydał już, jak wiadomo, cały szereg dzieł wartości pierwsrorzędnej. Polecaliśmy też gorąco w „Gaz. Kośc.“ (w rocznikach dawniejszych) jego homilje i kazania, jego „Homiletische Gedanken und Ratschläge“, jego przepiękne wezwanie do radości („Mehr Freude“). Teraz mamy przed sobą nowe wydanie opisu jego podróży do Egiptu i do Palestyny ozdobione jego portretem i 195-u bardzo dobremi ilustracjami i odznaczające się wszystkiemi zaletami jego wytwornego pióra, ale zarazem wartością naukową. Żywo i barwnie opowiada on o wszystkiem, co widział w kraju faraonów i w Ziemi św., o pięknościach świątyń, o zwyczajach mieszkańców itd. Zdziwiło nas tylko niemało, że zachwyca się także piramidami (str. 113 nn.), o których mówią inni, jak Alban Stolz („Besuch bei Sem, Cham und Japhet“ str. 483), że niema w nich wcale „nic wyższego, nic duchowego“, że „są to niedorzeczne Molochy kamienne.“ — Był on także w Damaszku i Bejrucie, a w drodze powrotnej zwiedził Ateny i Konstantynopol. Treść więc książki jest bardzo obfita i zajmująca. Gdzieniegdzie tylko można jej wytknąć zbyteczną dokładność i rozwlekłość opisów.

Franz Herwig. „D i e S t u n d e k o m m t“. Ein Roman vom Gardasee. 4—8 Tausend. Freiburg i. Br. 1922. Herder. Str. 163.

Autor tego romansu należy do pisarzy młodszych, wysoko cenionych w Niemczech, ale poza ich granicami jeszcze prawie nie znanych. W r. ubiegłym pisaliśmy w „Gaz. Kośc.“ (na str. 399) o jego broszurce p. n. „Die Zukunft des katholischen Elementes in der deutschen Literatur“ (Herder 1922), w której wyraża on przekonanie, że w dalszym rozwoju literatury niemieckiej wybije się na czoło element katolicki, dotąd lekceważony przez protestantów i liberałów, ale wzrastający ciągle na siłach i zdobywający sobie prawo do poszanowania. Powiedzieliśmy tam, że ocena jego zapatrywań wymagałaby znajomości dzieł, o których pisze, a które dziś nabyć trudno. Niedawno dopiero otrzymaliśmy do recenzji jeden z jego utworów, który nam dał jakieś, choć jeszcze bardzo niedokładne wyobrażenie o jego talencie. Nie jest to „romans“, jakich posiada już mnóstwo literatura belletrystyczna, tuzinkowy, bez żadnej myśli głębszej, ale prawdziwe dzieło sztuki. Autor opowiada, że kiedy przebywał nad pięknem jeziorem Garda, przesunęły się przed oczyma jego duszy dzieje wspaniałego niegdyś zamku, zbudowanego tam przez księcia Gonzagę w Maderno, dzieje trzech jego właścicieli, którzy wszyscy ulegli swoim namiętnościom, stracili wiarę i dlatego koniec ich był bardzo smutny. Nie jest to nudna książka moralizująca, ale może niejednemu niedowiarkowi przypomnieć żywo tę wielką prawdę, że odrzucając religję, czyni się człowiek sam nieszczęśliwym. *P.*

KRONIKA KOŚCIELNA.

Limpias. Znana to rzecz, że w obecnej dobie nastąpił wszędzie znamienny zwrot ku religji. Materjalizm już się przeżył i ludzie, doświadczywszy aż nadto jego zgubnych skutków, obudzają w sobie uczucia religijne umyślnie czy nieumyślnie uśpione. U nas wyrazem tego jest silna frekwencja i uczestnictwo w nabożeństwach, jak też częste spowiedzie z kilku a nawet kilkunastu lat. Niestety, niektórzy, pragnąc zaspokoić tę wrodzoną dążność i potrzebę duszy swej, udają się do mętnych i tajemniczych źródeł spirytystycznych, teozoficznych czy innych, zamiast szukać tego ukojenia w źródle jedynie pewnem, jasnem i skutecznem, jakiem jest nauka i wiara katolicka. Wszystko to jednak świadczy o tym silnym prądzie, o tem jak gdyby gorączkowem szukaniu czegoś niematerjalnego, czegoś nadprzyrodzonego. — I oto w tym właśnie czasie rozchodzi się pogłoska, że w małej mieścinie hiszpańskiej Limpias dzieją się rzeczy nadzwyczajne. Oto wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa Pana, umieszczony w głównym ołtarzu w kościele, patrzy z niezmiernym bólem na otaczających go; porusza ten ukrzyżowany Chrystus głową, łzy roni, jednem słowem odtwarza niejako mękę konania. Początkowo widzi to kilka osób, następnie coraz więcej i wreszcie tysiące różnych ludzi spieszą, by ten fakt skonstatować i tysiące przekonują się o cudzie. Limpias poczyna się stawać drugiem Lourdes. A te tłumy świadków, doznawszy cudu, z pewnością w całej pełni zaspokoiły swe gorączkowe pragnienie zobaczenia czegoś niezwykłego, przekonania się namacalnego o istnieniu świata niematerjalnego. Wielu innych dozna jeszcze cudu, a miljony mogą się dowiedzieć o prawdziwości tych faktów z prasy, która powinna te wieści radośnie rozszerzać. Pominę inne świadectwa, a poprzestanę na jednem, na świadectwie biskupa z wyspy Kuby Manuela Ruiz, który zwiedził Limpias w podróży do Rzymu. Biskup ten, wróciwszy do ojczyzny, wydał list pasterski, w którym opisuje cudowne owe zjawiska. Oto wyjątki z tego listu (zamieszczone w „Posłańcu Serca Jez.“ z sierpnia 1922 r.): „Byłem właśnie w Barcelonie, gdy po raz pierwszy doszła mnie wieść o cudownych zjawiskach w Limpias. Nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi, pamiętając, że w tego rodzaju sprawach należy być bardzo ostrożnym, gdyż o złudzenie tu nader łatwo. Dopiero gdy stanąłem w Santander i ponownie usłyszałem opowiadanie o cudach w Limpias, postanowiłem być tam osobiście i zbadać sprawę naocznie. Uczyniłem to nie tyle ze względu na siebie, ile ze względu na wiernych. Pragnąłem bowiem ujrzeć te cuda, by móc o nich napisać.

Udałem się tedy 27 sierpnia do Limpias i stanąłem o godz. $11^1/_2$ przed wejściem do kościoła. Byłem bardzo znużony. Wraz ze mną przybyła pielgrzymka z Mena, miałem więc szczęście być na Mszy św. odprawianej dla pielgrzymów. Klęczałem na klęczniku w presbyterjum, potem usiadłem i słuchałem kazania o Chrystusie. Dla większej czci Zbawiciela a upokorzenia mego muszę wyznać, że

znużenie, jakie mię ogarnęło i cisza świątyni przyprawiły mię o senność. Byłem w takim stanie, w jakim Chrystus zastał apostołów w ogrojcu: „Erant oculi eorum gravati". Jednem słowem byłem senny i nie czułem skupienia. Wtem dały się słyszeć dwa okrzyki, które mię ocuciły z półsnu. Podniosłem głowę do góry i w tej chwili ujrzałem wyraźnie, jak Chrystus rozchylał i zamykał usta; zamykał je powoli, otwierał prędko. To samo widziałem i po południu, gdy w ciągu dziesięciu minut obserwowałem Go w samotnej modlitwie. Te poruszenia ust Zbawiciela nie wywarły na mnie żadnego wrażenia, właściwie nie wierzyłem w to, co widziałem. Wkrótce potem spojrzałem znów na Chystusa i ujrzałem wyraźnie, jak poruszał głową z jednej strony ku drugiej. Oblicze wyrażało przestrach konania i bolów przedzgonnych, jak się to widzi u umierających. W tej właśnie chwili zauważyłem nadzwyczajną piękność głowy i oblicza Chrystusowego, na co przedtem nie zwróciłem uwagi. Ale i to zjawisko nie wywarło na mnie silnego wrażenia. Po Komunji św. spojrzałem znów na Chrystusa, polecając Mu swą djecezję. Teraz z uwagą i zajęciem patrzyłem i zobaczyłem wówczas, że oczy poruszały się z jednej strony ku drugiej. Na ten widok zadrżałem cały, i ledwie mogłem oddychać. Serce mi biło gwałtownie, nerwy były naprężone, nie umiałem zapanować nad sobą. Dlaczego stało się to aż teraz na widok poruszających się oczu, nie mogę sobie wytłumaczyć. Po południu widziałem ponownie to samo i wtedy uczułem gorące pragnienie, by pozostać na kolanach jak najdłużej przed konającym Zbawicielem. Tyle widziałem i gdybym mógł zastosować do siebie słowa Pisma św., tobym powtórzył za św. Janem: „A który widział, dał świadectwo i prawdziwe jest świadectwo jego. I on wie, że prawdę powiada, abyście i wy wierzyli". I z tym samym Apostołem stwierdzić mogę: cośmy widzieli i słyszeli, wam opowiadamy, abyście i wy w tem udział brali z nami. A to wam piszemy, abyście się radowali a radość wasza była pełna (1. Jan 3, 4). I jako świadek owych cudów dzielę się tą wiadomością z wami, ku większej czci Jezusa Ukrzyżowanego i dla zbawienia dusz waszych."

Świadectw podobnych jest wiele a najważniejsze są te, które podają niewierzący, a pod wpływem cudów nawróceni.

Jak zbawienne refleksje nasuwają się nam, gdy o tem czytamy! Jeśli to wzmacnia naszą wiarę, o ile więcej wzmocni ją u tych, którzy chwiejni i słabi są w wierze. Jak dobrą mamy sposobność poprzeć wszystkie dowody prawdziwości naszej świętej wiary właśnie odwołaniem się na cuda, obecnie przez Chrystusa Pana w Limpias działane. Jak skuteczną bronią będzie to odwołanie się w walce z dzisiejszymi sekciarzami! Ile dusz możemy pozyskać dla Chrystusa Pana, jeśli w sposób odpowiedni przedstawimy im cuda w Limpias! *X. Karol Czubryj.*

(Wyszła bardzo dobra broszurka, traktująca o Limpias, napisana przez X. Alfreda Hoppe'go, tłumaczona z niemieckiego. Nakładem Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.)

Z Czech. Sekta czecho-słowacka liczy obecnie 97 parafji w Czechach, a 28 na Morawach i na Śląsku, które obsługuje 162 duchownych; — jednakowoż dopiero około 12 parafji posiada warunki potrzebne do uznania ich przez państwo, tj. własne gmachy kościelne itd., inne nie mają prawa do dawania ślubów, do wystawiania metryk itd. ważnych wobec państwa. Przed kilku miesiącami nie uznał już jeden ze sądów z okazji sprawy spadkowej małżeństwa, zawartego przy asyście proboszcza „czecho-słowackiego", a można sobie wyobrazić, jakie skutki pociągną za sobą tego rodzaju oszustwa sekciarzy.

Czeskie duchowieństwo katolickie skupia się ponownie do pracy pasterskiej a także naukowej. Wydaje ono już rocznik 64-y pisma p. t. „Časopis Katolického Duchovenstva". Zeszyt 1-y z r. b. zawiera 4 rozprawy następujące: „Św. Wacław był umęczony w r. 929." (Dr. Stejskal) „Św. Tomasz z Akwinu a Dante Alighieri ogłównych przeszkodach charakteru moralnego" (Dr. Kachnik). „Monizm" (Dr. Statečny). „Prowincjał O. Bernard Sannig, uczony, pisarz i organizator prowincji Franciszkańskiej" (1637—1704 — O. Kl. Minařik). Nadto znajdujemy tu notatki rozmaitej treści i recenzje, a jako dodatek nr. 1-y czasopisma „Sursum", które jest organem klubu duchowieństwa: „Strany ludowe". — Szkoda, że u nas pisma te tak mało są znane. *Red.*

W sprawie uposażenia duchowieństwa. Jak ogłoszono w IX Kurendzie Metrop. lwowskiej z r. 1922, Województwo lwowskie pismem z dnia 27 listopada 1922 zawiadomiło Kurję, że od dnia 1, stycznia 1923 r. pobory duchowieństwa, a to uzupełnienie kongruy, dotacje, remuneracje administratorskie oraz wszelkie należytości stałe przesyłać się będzie półrocznie z dołu przekazami pocztowymi po potrąceniu należytości pocztowej do rąk percypientów, zaś księżom emerytom również przekazami pocztowymi miesięcznie z góry.

Dotychczasowy zatem sposób wypłaty poborów i emerytur przez poszczególne Kasy skarbowe ustaje z końcem grudnia b. r. Księży emerytów wzywa się, aby podali wprost Województwu najdalej do dnia 30. grudnia b. r. dokładny adres ich obecnego miejsca zamieszkania oraz ostatnią pocztę.

W zawiadomieniu tem niema żadnej wzmianki o odpowiadającej stosunkom dzisiejszym podwyżce tych poborów, można jednak, jak sądzimy, oczekiwać, że owe kwoty śmiesznie nizkie, po które nie warto się zgłaszać, będą już wnet należały do przykrych wspomnień z niedalekiej przeszłości! Czemuż jednak wypłata tych kwot ma odbywać się „półrocznie z dołu"? — Czyż wszyscy księża polscy takie mają dochody, że mogą czekać do końca każdego półrocza na przyznawane im ze skarbu państwa zasiłki? Czemu duchowieństwo ma być zawsze traktowane daleko gorzej niż urzędnicy? *Red.*

Odezwa.[1])

Polacy — Katolicy!

Na przedmieściu Krakowa, tak bogatego we wspaniałe świątynie, jest gmina Prądnik Czerwony — kilka tysięcy mieszkańców licząca — od miasta odległa — nie mająca własnego kościoła. Potrzeba więc kościół budować! OO. Dominikanie darowali na cel budowy kościoła w tem miejscu piękny kawałek gruntu. Udało się też uzyskać wielki barak (bo dziś na barak tylko można się zdobyć), z którego można zbudować tymczasowy, drewniany kościół. Jednak na kupno, przewiezienie, ustawienie i jakieś ozdobienie tego skromnego przybytku potrzeba kilkadziesiąt miljonów. Ludność tutejsza, choć uboga, złożyła już znaczniejsze fundusze. Ale one nie wystarczają. Jeszcze wiele miljonów marek trzeba uzbierać.

Mimo ciężkich czasów zabieramy się do budowy kościoła, gdyż jest koniecznie potrzebny.

Wszelkie ofiary należy przesyłać pod adresem: Komitet budowy kościoła parafjalnego w Prądniku Czerwonym p. Kraków.

Wszystkie pisma polskie w kraju i zagranicą prosimy o przedrukowanie tej odezwy.

Prądnik Czerwony, p. Kraków, d. 26 grudnia 1922 r.

Komitet budowy kościoła parafjalnego w Prądniku Czerwonym:

Protektor:

† *Dr. Adam Stefan Sapieha*
Książę-Biskup krakowski.

Mikołaj Sobieraj skarbnik. *Ks. Józef Mazurek* przewodniczący. *Piotr Kaliski* sekretarz.

(Resztę podpisów opuszczamy. *Red.*)

[1]) Z druku nam przysłanego przytaczamy dla braku miejsca tylko zdania, zawierające treść główną.

Popieramy gorąco tę prośbę i gotowi jesteśmy pośredniczyć w zbieraniu ofiar na tę budowę. *Red.*

Wiadomości diecezjalne.

Archid. warszawska.

Mianowani XX. Proboszczowie: **M.** Woźniak, proboszczem i dziekanem kutnowskim, Wł. Lewicki dziekanem jadowskim i proboszczem par. Kamionna; Br. Sielski proboszczem par. Sierzchowy.

Przeniesieni XX. Proboszczowie: Jan Malinowski z Sierzchów do Głogowca; A. Montak z Łomny do Niegowa; Zieliński z Niegowa do Łomny; Wł. Żabczyński z Bolimowa do Bełchowa; W. Zienkowski z Bełchowa do Lubochni; K. Kwieciński z Lubochni do Bolimowa X. Z. Samkowski, neopresbyter, mianowany wikarjuszem par. Złaków.

Archidiecezja lwowska ob. łać.

Mianowani: dziekanem trembowelskim X. Dr. Eustachy Jełowicki, proboszcz w Trembowli; administratorem parafji w Mikulińcach X. Paweł Mikulski.

Konkurs na opróżnione prob. w Mikulińcach ogłoszony z terminem do 20 lutego b. r.

Diec. krakowska.

Mianowany. Mianowany szambelanem Ojca św. X. Dr. Józef Kulinowski, prob. par. św. Florjana w Krakowie.

Zmarł X. Wawrzyniec Solak, szambelan Ojca św., jubilat, prob. w Andrychowie, ur. 1845, w 1870 *R. i. p.*

Odpowiedzi redakcji.

WXX. **Pr.** Sądzimy, wraz z wielu innymi, że dopóki te płace nie będą odpowiednio podwyższone, powinno całe Duchowieństwo odmawiać ich przyjmowania. — Pouczenie o iasjach zajęłoby zbyt wiele miejsca; — z książek nam znanych, które podają potrzebne pod tym względem wskazówki, polecamy „Kancelarję Paraf." X. dra. Jougana. — **Gaw. W.** Otrzymaliśmy 5000 m. za K. T. W r. 1922 otrzymaliśmy za K. T. i za egz. W. XX. po 1200 m. pozostaje do uiszcz. za oba egz. 2800 m. za r. ub. i pren. na r. b. za egz. W. XX. — **War.** w N. Y. Otrzymaliśmy 1 dol. i dziękujemy! — **N. Sz.** Nie możemy zamieścić tej koresp., boby nam zarzucono, że występujemy wrogo przeciw całemu narodowi ruskiemu. — **Fr. H.** art. będą zamieszczone w najbliższym czasie.

Na wyd. „Gaz. Kośc." złożyli P. T. Księża: Dr. Wincenty Miś (ze Stanisławowa) 5.000 m. Michał Dobija (ze Lwowa) 2.500 m. Dr. Stefan Momidłowski (z Przemyśla) 5.000 m. Fr. Barańczyk (z Oświęcimia) 5.000 m. Fr. Kuśmierczyk (ze Skałatu) 5 000 m. Dominik Czeszyk (z Korczyny) 1.200 m. Iz. Ziółkowski (z Wojniłowa) 500 m. Tercjarze we Lwowie 6.000 m. — Naddatki: J. Winkowski (z Zakopanego) 2.000 m. Al. Nalepa (z Bochni) 1.000 m.) Ł. Tomasik (z Kazimiery Wielkiej) 1.000 m. Winc. Wojakowski (z Radziechowa) 2.000 m. (C. d. n.)

Na fundusz pras. XX. Misjonarze (ze Lwowa) 2.000 m. Mynarski (ze Skałatu) 5.000 m.

Na odbudowę domów w Worochcie X. Fr. Kuśmierczyk 5.000 m.

Wydawca i nakładca Tow. wzajemnej pomocy Kapłanów. Lwów, Murarska 49. Odpowiedzialny redaktor Ks. Dr. Pechnik.
Z Drukarni A. Gojawiczyńskiego, Lwów Kopernika 20.